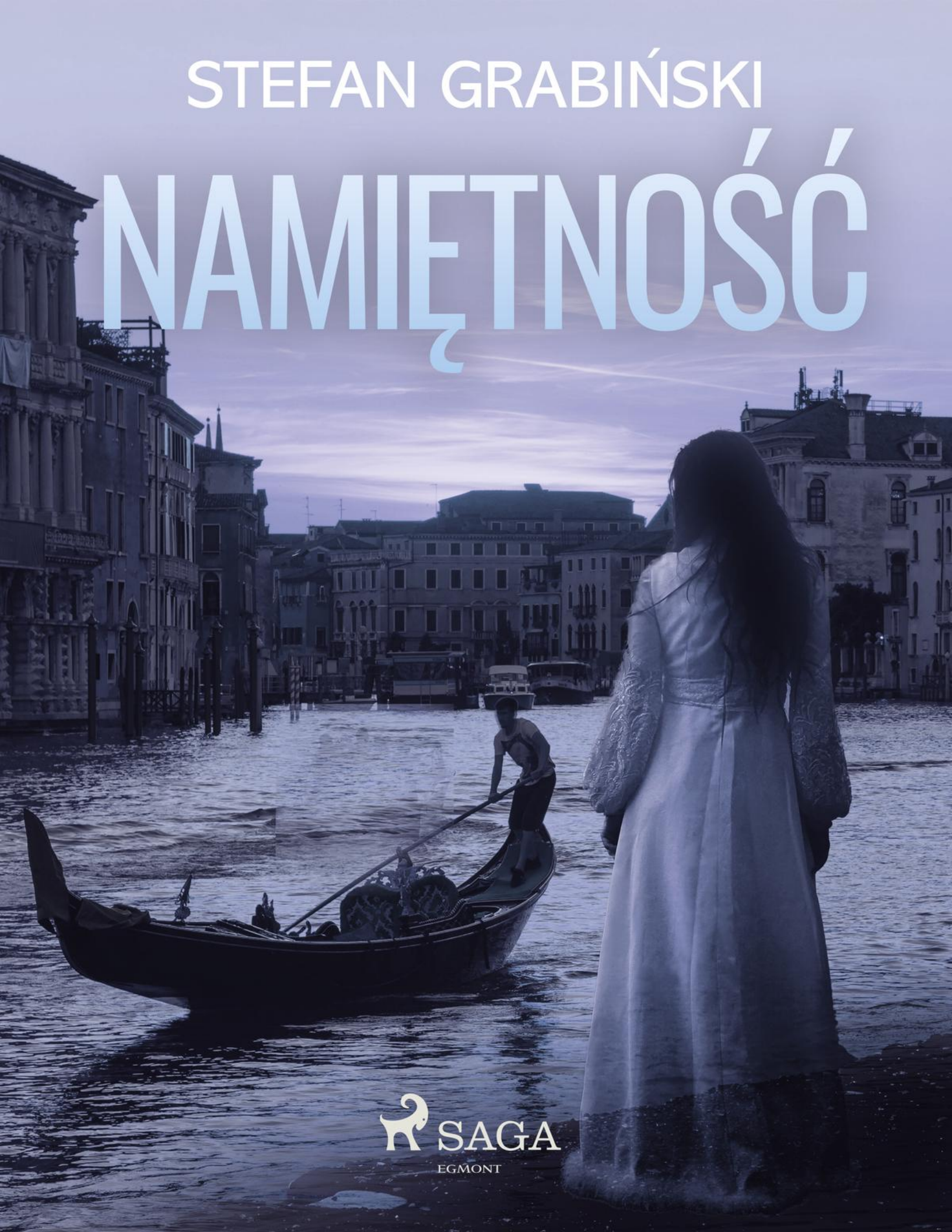


STEFAN GRABIŃSKI

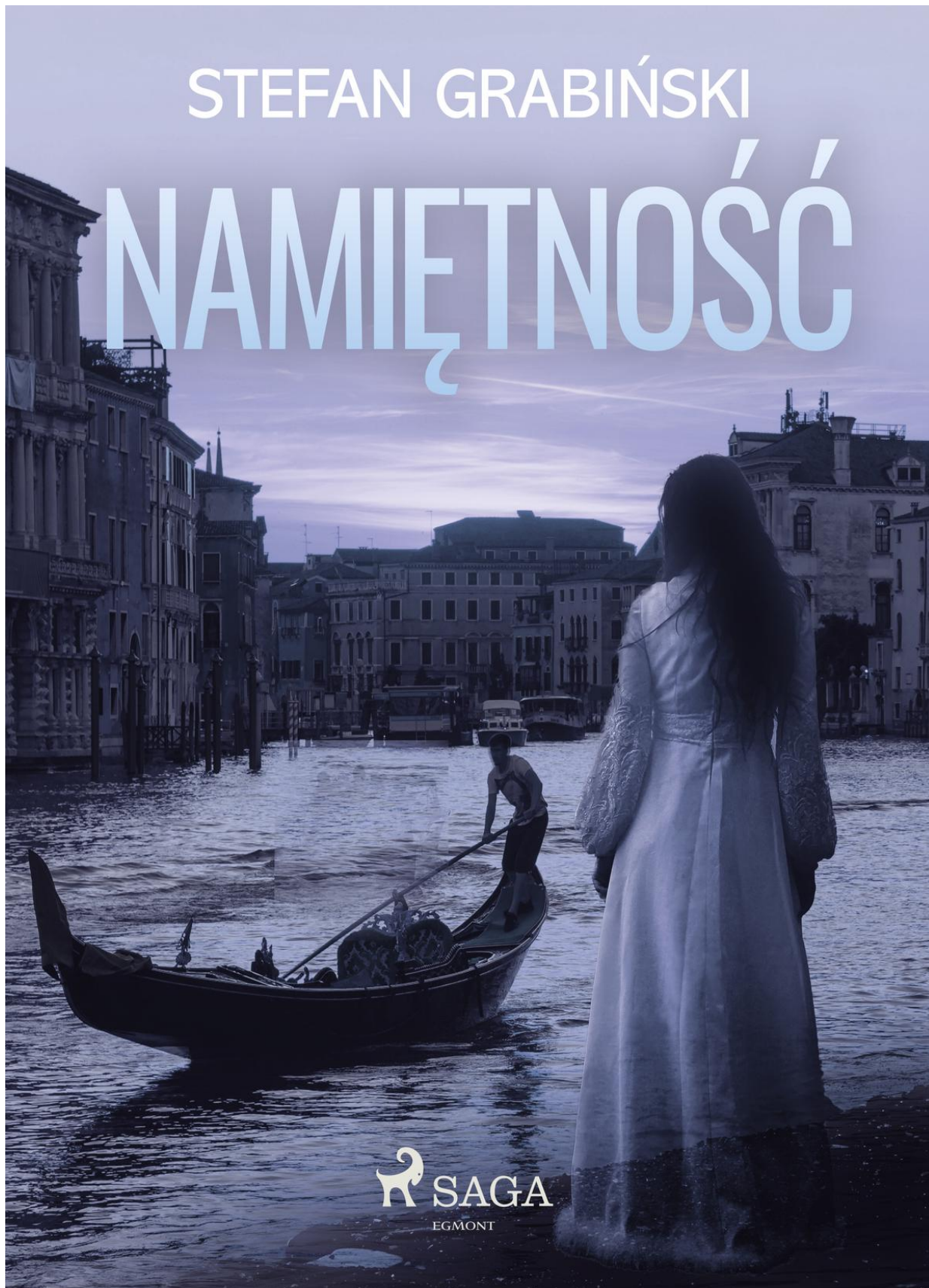
NAMIĘTNOŚĆ



 SAGA
EGMONT

STEFAN GRABIŃSKI

NAMIĘTNOŚĆ



 SAGA
EGMONT

Stefan Grabiński

Namiętność

Saga

Namiętność

Zdjęcia na okładce: Shutterstock

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów, z których pochodzi.

W niniejszej publikacji zachowano oryginalną pisownię.

Copyright © 1930, 2022 SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788728315989

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

Język, postacie i poglądy zawarte w tej publikacji nie odzwierciedlają poglądów ani opinii wydawcy. Utwór ma charakter publikacji historycznej, ukazującej postawy i tendencje charakterystyczne dla czasów z których pochodzi.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Nad sestiere [¹] di Cannaregio, w samym sercu laguny wisiała lekka, ledwo dostrzegalna mgła. W blaskach lipcowego słońca precedzanych przez ten najsubtelniejszy z woali drzmały senne wody Canale Grande [²] a w nich jak wyczarowane z bajki, nieprawdopodobnie piękne przeglądały się pałace, wille, domy i kościoły. I widziało się wszystko niby miraż złocisty, powołany do życia przez przepyszną fantazję, niby obraz senny utkany z marzeń artysty w chwilę dziwnej, twórczej szczodroty.

Tylko fala przybrzeżna z cichym chlupotem roztrącająca stopnie schodów, tylko piosenka gondoljera, co przejechał mimo w żałobnej swej łodzi, budziły z zadumy olśnienia i kazały stwierdzać ten ponad wszystko radosny fakt, że jestem naprawdę w Wenecji...

Tak to rozkochany w mieście dożów, pijany czarem architektury i smętkiem czarnych, tajemniczych wód czekałem w ten cudowny poranek na vaporetto, które miało mię przewieść na tamtą stronę Wielkiego Kanału. Poza mną był stary, połowy 18. wieku sięgający kościół S. Marcuola z małym dziedzińcem przed bramą wchodową, po lewej, po drugiej stronie wąskiego rio [³] może najwspanialszy po siedzibie dożów pałac Vendramin -Calergi, ten sam, w którym ostatnie swe tchnienie oddał wielki twórca „Nibelungów“. Właśnie gdy błędząc spojrzeniem po jego fasadzie, odczytywałem dewizę: Non nobis — Domine — Non nobis, rozległ się przeciągły, trochę szorstko rozdzierający ciszę tej godziny gwizd parowczyka.

Więc rzuciwszy raz jeszcze okiem na koronkę pałacu, wstąpiłem na ruchomy pomost i za chwilę siedziałem już na rufie statku.

— Avanti! — podał sternik hasło przez tubę w czeluście kotłowni i vaporetto wyzwolone z uwięzi zaczęło rozgarniać sztabą leniwe wody.

Podróż moja nie miała trwać długo: wysiadałem na najbliższym przystanku, S. Staë. Statek minął były dom patrycjusza, Teodora Correr i założone przezeń Museo Civico, minął stary śpichlerz Republiki, pałace Erizzo, Grimani della Vida i Fontana i dotarwszy do linii Palazzo Tron, zwrócił się dzióbem w prawo ku brzegowi.

— Ferma! — spadł rozkaz z wyżki w środku vaporetta.

Przycichł warkot śruby, ustała oddenna praca kotła i parowczyk przyciągnięty łagodnie liną do burty pontonu zbratał się znów z przystanią w chwilowym uścisku.

Przepchawszy się szczęśliwie przez zastęp pasażerów, stanąłem na bulwarze przybrzeża. Stąd do Galleria d' Arte moderna w pałacu Pesaro, celu mojej wędrówki było już niedaleko. Przeszedłem krótki, ponad rio di Mocenigo gibkim łukiem rozpięty ponticello i znalazłem się na Fondamenta Pesaro.

Cicho tu było jakoś o tej porannej godzinie i plusk fali wdzierający się leniwo na omszałe stopnie tarasu rozbrzmiewał wyraźnie w podsieniach pałacu.

Wszedłem na pierwsze piętro. U wejścia do galerji spotkały mię osowiałe i niechętne spojrzenia funkcjonarjuszy, którzy zdawali się mieć mi za złe, że im przerywam dolce far niente, żądając biletu.

Wpuszczono mię do wnętrza. W salonach pustki: tu i tam błąkało się kilku stranieri [⁴] z Baedekerami w ręku a jakaś koścista miss w cwikierze pożerała oczyma ponętny akt męski. Uwagę moją zaprzątęła grupa „Mieszczan z Calais“ Aug. Rodina. Gdy po pewnym czasie oderwałem wzrok od rzeźby i spojrzałem w głąb najbliższej sali, spostrzegłem przed jednym z obrazów młodą, piękną damę. Profil jej subtelny a zdecydowany, z orlikowatym nosem odcinał się na tle silnie oświetlonej przez słońce ściany wyraźnie i mocno. Krucze, połyskami metalu grające włosy okalały twarz smagłą, pociągłą, z parą ciemnoorzechowych,

ognistych oczu. Spojrzenie ich jedyne, niezapomniane łączyło w sposób przedziwny kobiecą słodycz ze stalowymi błyskami nieugiętej woli: w momentach gniewu oczy te musiały być straszne. Z tą doskonale piękną, patrycjuszowską głową harmonizowała wybornie wysmukła i giętka kibić, której linje przeglądały dyskretnie a kusząco przez czarną, pełną spokojnej elegancji i smaku tualetę. A na tle tej wyrafinowanej prostej i skromnej sukni wykwitał jak płomień szal pomarańczowy i zlewał się w barwną symfonię z dużą, herbacianą różą wpiętą we włosy.

— Cudna kobieta! — pomyślałem, przestępując próg sali. Odwróciła się i po raz pierwszy spotkały się nasze spojrzenia: jej — trochę roztargnione, potem badawcze, wreszcie zaintrygowane — moje — hołdownicze i podziwem brzemienne. Na ustach jej zaświtał zarys uśmiechu i zgaszony wolą rozwiął się powoli bez śladu; obojętne, aksamitne oczy przeniosły znów łaskę spojrzenia na obraz Fragiacoma „Kutry rybackie podczas sztormu“.

I wtedy przyszedł mi w pomoc szczęśliwy przypadek.

Już gdy mijalem ją ze ściśniętym sercem i uczuciem zawodu, książka, którą trzymała w ręku, wysunęła się z palców i upadła na posadzkę koło mnie. Błyskawicznym ruchem schyliłem się po nią i odczytałem tytuł: — El secreto del acueducto — por Ramón Gomez de la Serna.

— To Hiszpanka — pomyślałem i z ukłonem zwracając jej własność, zapytałem:

— Dispense V. — Este libro pertenece a V. No es verdad? [
5]

Spojrzała przyjemnie zdziwiona i odbierając książkę, odpowiedziała w tymże języku:

— Pan mówi po hiszpańsku. Może jest Pan moim rodakiem?

— Nie, łaskawa Pani — odparłem — jestem Polakiem, lecz nie jest mi obcym język szlchetnych synów Kastylji.

Znajomość była zawarta. I potoczyła się między nami rozmowa żywa a malownicza, bo i ona lubiała styl trochę kwiecisty, w kunszt słowa bogaty i ja urzeczony czarem jej postaci mimowoli dobieierałem zwrotów barwnych, jak motyle skrzydlatych.

Donja Inez de Torre Orpega rodem z Estramadury była od kilku lat wdową. Większą część roku spędzała w Madrycie u starszej siostry zamężnej za jakimś dworskim dostojnikiem a tylko na miesiące letnie przyjeżdżała w odwiedziny do krewnych w Wenecji. O Polsce i Polakach wiedziała niewiele i z zajęciem słuchała moich informacji. Gdy w pół godziny potem opuściliśmy galerję obrazów i znaleźliśmy się na bulwarze Fondamenta Pesaro, byliśmy już dobrymi znajomymi.

— Dokąd się Pan teraz wybiera? — zagadnęła. — Pora jeszcze za wczesna na obiad, lecz stosowna na drugie śniadanie. Czy nie zechciałby go Pan spożyć w mojem towarzystwie gdzieś w jakiejś restauracji z widokiem na Ponte Rialto? Lubię bardzo obserwować go w godzinach porannych.

Byłem zachwycony.

— Najlepiej będzie — zaproponowałem — jeżeli wstąpimy do Corvo Nero opodal przystanka vaporettoów.

— Wybornie. Proszę zatem podać mi rękę i sprowadzić do gondoli.

Spojrzałem trochę zdziwiony:

— Narazie nie widzę żadnej. Musimy trochę poczekać, aż któraś podpłynie.

Odpowiedziała srebrzystym śmiechem:

— Mój Beppo nie każe nam długo czekać. Oto już poznał mię zdała po głosie i zbliża się ku nam na swej Rondinelli.

I rzeczywiście z poza węgła bulwaru wychylił się dziób Jaskółeczki, która przywarłszy czarnem podbrzuszem do wód kanaliku między pałacem Pesaro a Corner della Regina, przyczaiła się tam na chwilę i tylko czekała na hasło.

— Beppo Gualcioni, mój nadworny gondoliere — przedstawiła mi z miną pół serjo, pół buffo swego przewoźnika — stary, długoletni sługa domu Ramorinów, mych krewnych.

I wsiedliśmy do łodzi.

Gondola donji Inez była istnem cackiem. Smukła, zgrabna i zwrotna jak fryga, z ślicznie rzeźbionym dzióbem w kształcie szyi łabędziej, kołysała się na fali jak kolebka królewskiego panięcia. Oparci plecyma o poduszki siedzeń z ciemnozielonego pluszu, pod osłoną niskiego, w złote frendzle strojnego baldachimu, który tutaj felze zowią, płynęliśmy jakby w nieskończoność zasłuchani w rytmikę wiosła.

Rozwiały się doszczętnie woale mgły i pod turkusowym kloszem nieba rozwinęła się bajecznie kolorowa perspektywa Canale Grande. Jej dominantą były trzy barwy: czarna, dżetowa wody, biała domów i pomarańczowa żaluzji i pozapuszczanych stor. Zmieszane ze sobą te trzy kolory, stopione powinowactwem szczęśliwego doboru — były jak dźwięk jedyny i konieczny, jak wyraz tajemny ukrytej gdzieś głęboko duszy tego miasta. I wszystko było przesiąknięte tym naczelnym, suwerennym tonem, wszystko rozdrغانą w bezlik dreszczy jedną struną — złotym monokordem, któremu na imię — Wenecja.

Jak przez sen przesuwwały się mimo naszej łodzi arcytwory weneckiej architektury, te koronkowe pałace i domy, z których niemal każdy chlubił się dziełami dłuta i pędzla wielkich artystów. Lipcowe słońce wyzłacało miedzią i cynobrem dumne, arystokratyczne frontony

i przyczółki, rozświecało mrokiem wieków nasiąkłe podziemia i kolumnady, spływało palącą pieśczętą na zielone oazy ogrodowych teras i winoroślą otulonych loggij.

Przepełnęliśmy mimo pałacu Ca d' Oro, najozdobniejszego gotyku dawnej Republiki, minęliśmy Sagredo, Michiel dalle Colonne i Morosini i znaleźliśmy się na linii Rybiego Targu. Odór wodnej żywizny, płynący z głębi hali targowej ogarnął nas duszącym wyziewem. Peschiera w pełnym toku porannego ruchu tętniła gwarem i zgiełkiem.

Donja Inez przytknęła do nosa chusteczkę i patrząc na mnie z uśmiechem, wdychiwała zapach perfumy. Gondola była już na wysokości Przystani Jarzynowej. Znużone orgją światła oczy, spoczęły z ulgą na zieleni główek kapusty, kalafiorów, selerów, pietruszek i marchwianej naci.

— Jaki kontrast między tym prozaicznym, choć tak ożywczym widokiem a wyrafinowanym pięknem pałaców — zauważyła donja de Orpega.

— Rzeczywiście — przyznałem — i mnie to zawsze uderza, ilekroć mijam Erberia. Trudno — nie może być inaczej; nie można żyć samą kontemplacją dzieł sztuki. Powiedziałbym nawet, że to pomieszanie prozy życia codziennego z poezją sztuki i przeszłości stanowi największy urok tego dziwnego miasta.

Skłoniła głowę na znak zgody. W bliskiej już perspektywie rozpiął się szary, patyną wieków okryty most Ponte Rialto. Kilku zręcznymi uderzeniami wiosła skierował Beppo łódkę ku przeciwnemu brzegowi i przesunawszy się lewą burtą mimo Fondaco dei Tedeschi, podpłynął pod łuk mostu. Za chwilę wyskakiwałem już z gondoli na oblepione wodną pleśnią schody nabrzeża i podawałem rękę Inezie.

Była godzina 11 rano. Przeszliśmy stację vaporettów Cerva i wciąż trzymając się brzegu kanału, wstąpiliśmy na Riva del Carbon. Ruch był ogromny; nadjeżdżające co kilkanaście minut parowczyki wyrzucały wciąż nowe zastępy pasażerów. Schroniliśmy się w zaciszny zakątek Corvo Nero, małej, ustronnej gelateria [6] z widokiem na Rialto. Tu, pod skrzydłem płóciennej markizy, wydała mi się donja Inez jeszcze piękniejszą; głębokie cienie pod oczyma podkreślały ich słodycz i żar. Patrzyłem na nią bez przerwy. A ona widząc mój zachwyt, uśmiechała się tylko kącikami ust i cedziła przez perły ząbków oranżadę. Spojrzenie jej senne, lekko rozmarzone błędziło bez celu po tamtym brzegu kanału, potem przerwuciło się na grupę gondol rozkołysaną w przystani i zatrzymało się na łuku Rialto.

— Czy nie przypomina panu trochę florenckiego Ponte Vecchio? — zapytała.

— Tamten jest trójdzielny — odpowiedziałem. — Chodzi mi o partje górne.

— A tak, oczywiście — przyznałem — oba są zabudowane, zwłaszcza ten we Florencji.

— Te sklepy i bazary, te budy jarmarczne rozbite nad wodą mają w sobie coś tak oryginalnego...

— Przemawiają do przechodnia wieku XX. z lapidarną swadą przeszłości. Może chce Pani przejść się tamtędy?

— Właśnie chciałam to Panu zaproponować; lubię czasem taką przechadzkę pomiędzy pierzejami rozkrzyczanych sklepów.

Opuściliśmy nasz cienisty przytułek i niebawem znaleźliśmy się na łuku mostu. Otoczyła nas atmosfera hali targowej. Wąską uliczkę między dwoma rzędami bazarów wypełniał skłębiony malowniczo tłum. Przeważały kobiety: smukłe, rasowe mieszcanki w charakterystycznych, czarnych szalach z frendzlami. Ich zgrabne, często

w ogniste wstążki przystrojone główki pochylały się z zainteresowaniem nad próbkami towarów rozłożonemi na ławkach i ladach a śliczne o wytwornym rysunku ręce z lubością gładziły postawy jedwabiu, satyny i perkalu; kapryśne, wybredne, brakujące ręce.

Chaosowi barw wtórzył chaos woni: wśród ich zgiełku wybijał się na powierzchnię zapach tanich perfum, szorstki odór juchtu i wnetliwa symfonia zamorskich korzeni.

Szczególniejszemi względami cieszył się bazar z lalkami i sąsiadujący z nim sklep z przyborami toaletowemi; zwłaszcza ten ostatni był stale oblężony przez płec piękną. Właściciel jego, barczysty, średnich lat mężczyzna, z parą melancholijnie opuszczonych ku dołowi wąsów przynęcał weneckie strojnisię, przesuwając między opierścienionemi palcami sznury fałszywych pereł, koralu i bursztynu lub przesiewając z dłoni w dłoń migotliwe przygarście kolczyków, broszek i manel.

— Signor Giuliano robi jak zwykle świetne interesa — zauważyła, mijając bazar, donja Inez. — Umie zachwalać swój towar.

— Sama tandeta i surogaty — odpowiedziałem.

— Niekoniecznie — zaoponowała — można tu czasem wyłowić i prawdziwą perłę: trzeba tylko znać się na rzeczy i odróżnić ziarno od plewy. Buda Giuliana — to też rodzaj bric a brac starożytności. Powrócimy tutaj jeszcze kiedyś w porze poobiedniej, gdy na Rialto trochę przestronniej. A teraz proszę mnie odprowadzić do gondoli; muszę wracać do siebie.

Przesyceni gwarem i krzykiem zesłiśmy do łodzi. Beppo pokrzepiony kilku szklanicami piwa i porcją makaronu w przybrzeżnej trattoria odwiązywał rażno gondolę od palika na bulwarze. Gdy zdjąłem kapelusz i utkwilem w donję Orpega oczy pełne niemej prośby o najbliższe spotkanie, pociągnęła mię za sobą w głąb gondoli.